

# TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna  
wynosi 1 tal. czyli 1 ztr.  
50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia  
po 1½ sgr. od drobnego  
wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 22 sierpnia 1874

Księgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

TREŚĆ: Wichrzycielstwo zbrodnicze. — Rodzina węglarza przez W. J. B. (Ciąg dalszy.) — Tajemnicza szkatułka. Powieść osnuta na prawdziwym zdarzeniu przez E. z Kurowskich Puffke. (Ciąg dalszy.) — Michał Piotrowicz Pogodin. — Zapytanie. — Od Redakcji.

## Wichrzycielstwo zbrodnicze.

Widocznie złą prorokinią jest Gazeta Toruńska w „śmiertelnym swym na nas gromie!”

Pisała ona (zob. Tyg. Wielkopolski Nr. 26, str. 208) co następuje:

„Otóż ani pioruny nie spadną, gdyż te zwykle na wyższe spadają punkty, — ani nikt nie będzie deptał, owszem wszyscy najtroskliwiej unikają, żeby tylko nie poruszyć!”

A tu Gazeta Narodowa poświęca nam wyłącznie połowę swego feljetonu i nadto w swych kolumnach politycznych: „Ziemia polskie” (Nr. 185, piątek 14go sierpnia 1874) piorunuje nas całą siłą jedyną polskiej mowy.

Mówiąc o usposobieniu ludności w Poznańskim, wywołanem przez klęskę duchowieństwa, grzmi jak następuje: „W obec takiego stanu rzeczy, wymagającego jak największej solidarności w społeczeństwie naszym, **dzikie wichrzycielstwo** redaktora Tygodnika Wielkopolskiego jest **zbrodniczym!**”

Daléj Djabél nas pragnie kopać i bózz!

I Orędownik i Wiarus wałą w swe blachy grzmotne pięściami i piętami dla ustraszania nas!

Nawet Kurjer Poznański! ów samoistny Kurjer, zwykle pełen konsekwencji i wręcz sprzeczny z Dziennikiem Poznańskim, teraz dostrzegli nas, oni, co systematycznie dotąd nas na śmierć zamilczeć raczyli!... Depcą nas wspólnie — w pogardy rzutach.

Nadto spadł na nas trzeci piorun po Gazety Narodowej i jednym procesie przed prokuratorem Dr. Szafarkiewiczem, zaszczycono nas drugim takimże procesem w imieniu Prezesa Spółki Akcyjnej Budowy Teatru Polskiego w Ogródzie Potockiego w Poznaniu — skarga p. Ignacego Grabowskiego.

Oczewiście staliśmy się raptem jakąś znaczną wysokością, Szanowna Pani Gazeta Toruńska, prokuratorko Bractwa Poznańskiego Wzajemnej Adoracji, — gdy aż trzy w nas godzą pioruny po przedburznej ciszy!...

„Wichrzycielstwo zbrodnicze!”

Witamy ten krzyk rozpacz Bractwa Wzajemnej Adoracji w Poznańskim i Prusach jako huk początku burzy, — która je zwieje i przywróci nam panowanie godne tego, jakie jaśniało w mężów potędze moralnej: Edwarda hr. Raczyńskiego, Macieja i Seweryna hr. Mielżyńskich, Hektora i Walerego hr. Kwileckich, Karóla Marcinkowskiego, Tertuljana Koczorowskiego, Gustawa Potworowskiego, Alexandra Brodowskiego, Tytusa hr. Działyńskiego, Hipolita Cegielskiego i ich godnych przyjaciół!

Kto lat temu 30 nauczał się zginać czoła przed takimi naczelnikami moralnymi, — temu wstrętnem jest patrzeć na takich Fajansów, Żyskowskich, Auów, Dobrowolskich, Szafarkiewiczów...

Kto zarabiał sobie na ostrogi w publicystyce pod takimi redaktorami jak Karól Libelt, Marcelli Motty, Stanisław Koźmian (poeta), Cegielski Hipolit, Popliński, Wojkowski Antoni, — temu smutno pomiędzy Dr. Szymańskimi, Dobrowolskimi, Dobrzańskimi i t. p.

Teraz rozpoczęło się nasze ministerjalne przesilenie (kryzys).

Zbliża się Opinia publiczna!

Już słysząc wrzaski strachu przed zbliżającym się Jéj wyrokiem!

My oczekujemy go jak najspokojniej. Niechby Jéj wyrok zagrzmiął i na naszym grobie!

Ustąpieniem z przewodnictwa Spółki Teatralnej Budowy p. Ignacego Grabowskiego, spada korona z tego Bractwa głowy!..



Już runęła najpokaźniejsza wieża Potemkinowego miasta, malowanego na dekoracyjnych deskach.

Dziękujemy Ci p. Ignacy Grabowski, żeś się oburzył na zarzuty czynione Dyrekcji i Radzie Nadzorczej, — boś służył z innymi za maskę i za narzędzie takim panom Hebanowskiem et consortes, którzy fuszerowali ów teatrzyk i marnowali grosz wdowi całej Polski, — i dziś go na łeb na szyję fuszerują — byle raz już skończyć przez nas zaniepokojoną swoją robotę.

Dobrześ zrobił p. Ignacy Grabowski! Oburzyłeś się na zestawienie swego nazwiska z M. Łyskowskiego, Fr. Dobrowolskiego i Fajansa! Tak każdy prawy człowiek powinien postępować, — i dziwił się tylko, żeś tego zaraz nie uczynił!...

Aleś, według naszego pojęcia, sam o sobie śmiesznie zawyrokował w Dzienniku Poznańskim z dnia 18 sierpnia b. r. jako „obrażony“, że: niewarto dochodzić tej obraziny na drodze honorowej!...

Gdybyśmy Cię byli obrazili prawdą: żeś nie był sumiennym prezesem w Spółce Budowy Teatrzyku Poznańskiego, to dopiero na Twe wyzwanie namby służyło prawo oświadczyć, czy uważamy Ciebie godnym lub nie satysfakcji honorowej — a sąd honorowy tylko mógłby to zawyrokować i nas zniewolić do dania Ci satysfakcji, — ale nie Ty, panie Grabowski!

A jeszcześ śmieszniejszy w oburzeniu się na to, że Cię nie broniła nasza prasa, a z czego się Kurjer Poznański służył tłumaczy i uniewinnia.

Bogactwo ma swoje względy i pierwszeństwo, ale tylko w kredycie bankowym i kapielowym, — lecz nie w obywatelskim t. j. moralności kredycie. W tym razie, dzięki Bogu, pracownik sumienny w publicznych sprawach, niechby on był ubrany i w zasmolony kaftan lub we wytartą surducinę, ma pierwszeństwo przed niesumiennym panem, ubranym w karety i pałace.

Tak było, — tak być powinno, — i tak będzie! I takich tylko zaczepionych ma prasa prawo i obowiązek bronić, jeżeli prasa ma być kapłaństwem publicznym!...

Dobrześ więc nawet zrobił, żeś nas zaskarżył przed prokuratorją.

Teraz sam p. Hartmann, autor planu teatrzyku, który to plan p. Hebanowskiemu, jako niby jego pomysłu i wykonania, taką w Prusach Zachodnich zjednał budowniczego reputację, teraz sam p. Hartmann w tym procesie posłuży nam za świadka.

Rozpatrzmy się w planach i ich wykonaniu, w wartości belek i ich wiązaniu, w sufitach i dziś już na zewnątrz tynkowanych murach, gdy jeszcze wewnętrzne nie są wyrzucone nawet wapnem, zbadamy szczegółów po szczególe w robocie stolarskiej, rzeźbiarskiej, malarskiej, ślusarskiej i t. d., bo rozpatrzmy się okiem człowieka nie łapigrosza, — człowieka, który czuje każdą kroplę potu, każdy karmelek od buzi dziatwy tu złożony, każdy kwiatek balowy naszych dziewic, każdy kawałek chleba od ust urzędników rządowych i prywa-

tnych, studentów i rzemieślników odjęty — dla tej minjaturki teatrzyku na ciasnym podwórku p. Hebanowskiego z wstydem utajony, a który dzienniki nasze poznańskie, a z dobrą wiarą i inne za niemi — ochrzcieli napuszonym mianem: „Teatru Narodowego Polskiego w Ogrodzie Potockiego w Poznaniu“, byle tylko wyłudzić składek i akcji jak najwięcej! do szafowania publicznym groszem dla faworytów!...

Nasze „wichrzycielstwo zbrodnicze“ nie zadowolni się oklaskami nie walnych Walnych Zebrań, — dymami pochwalnemi p. Referenta i jego „urzędowemi aktami.“ Ono „zbrodniczo powichrzy“ po kontraktach, kwitach i rachunkach, — ono sprawdzi je na miejscu samém w obec tego co jest, albo czego nie ma, przed panami urzędowymi znawcami i surowymi takimież sędziami, w sposób czysto niemiecki, ażeby się polscy akcjonariusze nauczyli, jakim to „sprawozdaniom rocznym“ powinno się przyklaskiwać i jak je badać należy.

Przestańmyż być Polakami, gdy chodzi o nasze szkody! Stańmy się raczej Żydami i Niemcami, — a nie będziemy ani na nich narzekali, ani na siebie samych, ani na nie!

Dziękujemy Ci panie Ignacy Grabowski!...

Wolelibyśmy byli mieć ten proces w Warszawie, Krakowie lub Lwowie, przed kratkami albo lepiej jeszcze przed sejmikiem obywatelskim, w ojczyściej mowie! To prawda! Ale co Bóg daje i jak daje, — to na nasze dobro!... „Stań się wola Twoja — a nie nasza.“

Pojmie teraz każdy ten wzorowo zgodny wrzask Dziennika Poznańskiego z Kurjerem Poznańskim, których w dniu 17 sierpnia 1874 r. udało nam się cudownie przemienić w Kastora i Polluxa, — a czego dotąd nawet interes spraw narodowych dopiąć nie zdołał!... W najwzorzowszej, w najczulszej przyjaźni, — serdecznie dłoń w dłoń depcą nasz marny, martwy „arkusz bibuły odrukowanej u Merzbacha“ — depcą niby jaki pełny jadu zdradliwy pełen życia gad!...

Nie Bracia! — „Przeciw prawdzie rozumu nie ma!“ mawiał Gostomski.

„Wichrzmy“ dalej tak „zbrodniczo“ — aż każdemu z nas niby błyskawicą w nocnej burzy wyrzycie się odwieczna społeczenska prawda-prawo:

„Tylko na moralności oparte interesa bogacą i uszczęśliwiają ludzi i kraje!“

Byle się to tylko w pamięć, w myśl i w czyn przedewszystkiem Polaków wcieliło, — to chętnie przy konaniu i na szubienicy, błogosławiąc chwilę objęcia redakcji, zawołamy z Krasickim:

„Święta miłości kochanej Ojczyzny  
Czują cię tylko umysły pocziwe!  
Dla ciebie zjadł smakuja trucizny.  
Dla ciebie więzy, klątwy nie zelżywe  
Byle ci pomódz, hyle tylko wspierać;  
Nie żał żyć w nędzy — nie żał i umierać.“

Wł. hr. Chotomski.

## Rodzina węglarza,

przez W. I. B.

(Ciąg dalszy).

### IX.

Przed tym obrazem klęknęłam w pokorze.  
Pierś mą najwyższa trwoga rozpierała;  
Chciałam się modlić, alem nie umiała!  
Tylko szeptałam jak żona węglarza:

— Zlituj się Panie! o! zlituj się Boże!  
I jak to echo, co jęki powtarza,  
Jęknęłam bólem zatrwózonej matki  
O skarb jedyny: o męża i dziatki!  
I zdało mi się, że na moim progu



Widmo nieszczęścia stało w ochydzie;  
A patrząc ku mnie, modląc się w Bogu,  
Hardo spytało w grozie i bezwstydzie:  
— Ktoś ty? — a jam mu w obawie bezmierna  
Odpowiedziała: — Jam żona i matka! —  
Lecz — sile dawnych prababek niewierna,  
Co mocą duszy trwogę uśmierzały  
I hardo w oczy nieszczęściu patrzyły,  
Odpowiedziałam tak cicho, tak trwożnie,  
Że upiór grozy do mego ołtarza  
Z szyderstwem w oka zbliżył się bezbożnie  
I znów zapytał jak żonę węglarza:  
— Gdzie twoje skarby? — a ja, cała drżąca  
Odpowiedziałam: — Pod opieką Bożą!  
Lecz — wraz z tém słowem krwi lawa gorąca  
Zbiegła do serca, i serce zwarzyła,  
Serce chrześciance! której lzy nie trwożą,  
Jeśli w nią Boża wola uderzyła,  
Zadrżało z trwogi o skarbów utratę,  
Choć spoczywały pod opieką Bożą!  
I zdało mi się, że Bogarodzica  
Zstąpiła ku mnie — i że wtedy chatę  
Ogrzała zorza z jasnego jęj lica;  
Że mi podniosła zamarle powieki,  
Że ciepło wlała w me sztywne ramiona,  
I że ja — członki tuląc do jęj łona,  
W jęj sile krzepiąc me serce kaleki,  
Mówiłam: — Matko! wszak ty w twój miłości  
Mnie nie opuścisz. Choć prababki moje  
Uragać będą mojej bezsilności;  
Choć sam wróg zmierzył moje niepokoje  
Wzrekiem szyderczym — Ty mnie w twój miłości  
A w mój niemocy przytulisz do łona,  
Bo twoje serce z mym bólem się zlało,  
Bo twoja dusza tak samo zraniona,  
Ciało tak samo pod krzyżem padało,  
Kiedy Bóg-człowiek konał z dłoni kata!  
Ty mnie otulisz, boś w siłę bogata,  
Boś matką ludzi! najsłabszą dziecinę  
Zwyczajem matek otulisz najbardziej;  
Słabości mojej dasz silną przyczynę  
I bólem moim stawisz się najhardziej.  
A gdy grom zniszczyć chce życia budowę,  
O! Matko! niechaj spada na mą głowę!  
Lecz czemu zmiąją w serce matki wnikać!  
Tam takie piękne marzenie się roi,  
Że grzech do tego skarbu drzwi odmykać,  
By szmer nie zbudził ducha niepokoi.  
O! Matko! ocal ty mnie w twój miłości!  
I cicho — lekko — w pierś mą i w me żyły  
W krew skrzeplą w wszystkie zmartwiałe me kości  
Wpływało życie! członki się prężyły,  
Ciało się wzniosło, starło z bezsilnością  
I zwyciężyło! I duch wzniosł się lekki,  
Starił się w zapasach z mém sercem: kaleki;  
I duch i ciało — oba zwyciężyły!  
A Matka Boża tę niemoc mój duszy  
Swą zwyciężyła dla słabych miłością!  
I rozumiałam — że moc ta mi dana  
Dla przyszłych, wielkich w mem życiu katuszy;  
I rozumiała myśl trwogą wezbrana,  
Wezbrana bólem nad przyszłemi gromy,  
Że w szczęściu mojem zaczyna się wyłomy!  
A oko matki, co dotąd patrzyło  
Na same gwiazdy i na samo kwiecie;  
I ucho matki, co dotąd słuchało  
Samych piosenek ulubionęj nuty  
I słowa marzeń goniło po świecie —  
Nagle przejrzało — nagle rozumiało!  
A wzrok mój z trwogą po ziemi rozsuty  
W dal wyteżyłam — patrząc — z kąd tój burzy  
Pierwszy się pocisk w me serce zanurzy.

X.

— Tak było cicho! jasnych gwiazd miliony  
Kładły się blaskiem na dach naszej chatki,  
Na grzędy kwiatów, murawy zagony;  
Brały w objęcie lilje i bławatki,  
A twarz nurzały w traw ciemnych łożysko,  
Aby zwyczajem bladego księżyca  
Zcałować róże z liljowego lica!  
Lecz gdy ich promień skradł się już tak blisko,  
Że już miał objąć w uścisk modre lica,  
Kwiatki po cichu zębki zatulały,  
Kryjąc urodę w zwinigte ramiona;  
A kryjąc oczy, kryjąc czyste łona,  
Całą swą postać do snu układały.  
Lecz mnie się zdało, że te jasne cienia,  
Te ciemne trawy, te wody strumienia,  
Tych gwiazd, księżyca, blask inny, wybladły,  
Nie do snu, ale do grobu się kładły.  
I wszystko cichło dokoła drzemiące:  
Szmer brzozy, gwary potoku na łące,  
I ptak w swém gnieździe i pajak na siatce  
I głosy ludzi... Wtém — wśród takiej ciszy,  
Jakiś szmer lekki ozwał się przy chatce  
I oczy moje skierował w tę stronę.  
Jak ptak, gdy z gniazda swojego posłyszysz  
Szelest przy gniaździe, tak jam wychylona  
Z mojego okna słała wzrok ciekawy,  
Na cienie krzewów, brzozy pochyłone,  
Zwinigte kwiaty, wpół drzemiące trawy,  
I świeże bruzdy szarego zagona.  
Szelest się zbliżał i wznosił stopniowo,  
Aż uciekł nagle pod oknem Jagody;  
A z okna: — Kto tam? zapytał głos młody.  
— Jagodo! siostro! — Gdy to pierwsze słowo  
Zadrżało szeptem ledwo dosłyszalnie,  
Niby jęcząco i niby błagalnie,  
Wraz dał się słyszeć skok lekkiego ciała,  
A potem wykrzyk i jęk w odpowiedzi,  
A potem — zcichło tak, jakby w mogile,  
Jakby w tym jęku dusza skamieniała;  
A ciało — w twardej spoczęło bezsile.  
A ja — jak trwożny ptak, co pilnie śledzi  
Obraty węża, który głowę wciska  
Do gniazda jego — jam twarz wychyliła  
I z przerażeniem w cień nocy patrzyła,  
Kędy się groza wychylała bliska.  
I posłyszałam znów jęk — a w tym jęku  
Tysiąca głosów rozjęczone brzmienie,  
I żal — i skargę — i lzy — i westchnienie!  
A wszystko razem stłumione, bez dźwięku,  
Jakby dźwięk skonał w głębi tego łona.  
— Jagodo! mówił ten głos przytłumiony —  
W mieście cholera! Pełno ludzi kona,  
Tysiące rodzin bez kawałka chleba,  
Tysiące sierot i wdów bez obrony,  
Tysiące mężów trwoniących swe siły;  
A w okół wielka nędza i potrzeba,  
W okół zgłiszczce serc, ruiny ducha!  
Gdziekolwiek ogień rozpasania bucha,  
A wszędzie pustki, lzy, rozpacz, mogiły!  
O! nie o takiej marzyłem ja szacie  
Dla mojej ziemi, dla mego plemienia! —

Dziewczę błagało: — Uspokój się bracie!  
Mówiłeś nieraz, że wszystko się zmienia  
W porządku rzeczy; wzniosą się ruiny,  
Zbudują pustki, zatrą lzy i winy.  
Wszystko na dobre Bóg złoży, urządzi,  
Wszystko na dawną powróci budowę,  
A nikt w przeznaczeń drodze nie zabłądzi.  
Ucisz twe serce! — masz płonąca głowę,  
Dłoń twoja zimna kurczy się w spłot węża,



Chódź ze mną! W chacie napijesz się wody,  
Spoczniesz; twe dłonie w mych dłoniach rozgrzeję.

Chłopiec się cofnął na słowa Jagody:

— Do chaty mówisz? gdy ból mi wypęza  
Członki, gdy ogniem gorączkowym tleję;  
Gdy moje ciało zwija siła taka  
Jakaś szalona, jakaś nieprzeparta,  
Jakby się żądło zimnego robaka  
W krew mą wpijało; — jakby się gadziną  
W serce me wciskał! Gdy ma pierś otwarta  
Już się pokrywa barwą bladą, siną,  
Mam iść do chaty? Nie bluźnij dziewczyno!  
Idź i drzwi zamknij na wszystkie zapory;  
A niech nie patrzą przez ścian tych otwory  
Ku mnie ci, których w mém życiu kochałem;  
Bo jeśli kogo siła téj zarazy  
Ziejacój mojem zarażoném ciałem  
Porwie, to choćbym umierał sto razy,  
Nie będę cierpiał, ile dziś cierpiałem!  
Idź — i drzwi zamknij! Mnie było potrzeba  
Spojrzeć raz jeszcze na zielone niwy,  
Na brzozy moje, na ten błękit nieba,  
Gdziem kochał, marzył, gdzie byłem szczęśliwy.  
Lecz ani ludzi, ni drzew, ni strumienia,  
Objęciem mego nie dotknę ramienia,  
Aby nie wpoić w nich mego oddechu.  
I będę ścisnął straszidło zarazy  
W dłoniach stygnących jak oblubienicę,

Bo wolę umrzeć nie raz, lecz sto razy,  
Niż jedną kroplę mego oddechu  
Wylać na wasze ukochane lice.  
Idź siostró! Jeśli cię będą pytali,  
To powiesz — powiesz — że umarł bez jęku,  
Cicho — jak w gronie tych, co mnie kochali,  
Słodko — jak w matki ukochanej ręku!  
Na cóż odkrywać im lez mych gorycze,  
Stygające serce, zamarłe oblicze;  
Tę pierś bez dźwięku, rozpacz bez ochłody?  
O! siostró — pocóż umieram tak młody? —

Ucichł — a jam to wszystko wysłuchała,  
Wszystko pojęła i — jam nie skoła!  
Nie jęklam nawet; tylko się zbliżyłam  
Do łoża męża, kolebki dzieciń;  
Cicho nad nimi krzyże nakreśliłam  
I wyszłam z chaty. Wyszłam w samą porę,  
Bo syn mój właśnie w objęciach dziewczyny  
Kurcząc się z bólu, jakby dusił zmore,  
Cisnąc rękoma pierś siną i skronie,  
Ostatkiem swego życia dogorywał.  
Z dłoni Jagody wzięłam go w me dłonie  
I w mém objęciu, na sercu spoczywał,  
Póki nie zasnął. A zasnął bez jęku,  
Słodko — jak w matki ukochanej ręku,  
Cicho — jak w gronie tych, co go kochali.  
I nie już! nie wiem, co stało się dalej!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu

przez

E. z Kurowskich Puffke.

(Ciąg dalszy.)

Rozalja schyliła znowu głowę na poręcz fotelu,  
a Łucja mówiła dalej:

— Zdaje mi się możebném, że Alman w swém melancholji myślał o odebraniu sobie życia trucizną i w tym celu zapisał ją sobie z Paryża. Lecz odłożył na później te samobójcze zamiary, ale truciznę zachował u siebie. Ta dostała się do rąk Karoliny — i ona zażyła ją pokryjomu. Karolina wiedziała, że Alman kochał dawniej Rozalję, a przy ostatniém ich widzeniu się miała sposobność przekonania się, iż to przywiązanie nie wygasło jeszcze w jego sercu i że ono było jedną z przyczyn jego przykrego humoru i niezadowolenia. To serce szlachetne lecz zbyt do egzaltacji skłonne widzi, że mąż jój, którego kochała namiętnie, cierpi z jój przyczyny, znajduje nawet u niego truciznę, boi się, aby jój nie zażył dla uwolnienia się z więzów, które go do niej przykuwają, wie, że po jój śmierci on odbierze sumy, które mu na całe życie wystarczą — więc w swój heroicznej egzaltacji popełnia samobójstwo! Namawia wpięrk męża, aby z nią jechał do Wiednia, gdzie grasuje cholera, by tak dla nagłej swój śmierci wynaleźć jakąś stósowną przyczynę. I tak umiera jako ofiara egzaltowanego terazniejszego wychowania kobiet, wychowania bez prawdziwych zasad religii moralności; ale godna najszczerzego pożałowania a nawet współczucia.

Łucja przestała mówić, Rozalja zakryła twarz rękoma i gorzko płakała, Kolaczek nie mógł także ukryć głębokiego wzruszenia.

— Mój brat może się domyślał tego poświęcenia Karoliny, bo od czasu jój śmierci był dziwnie zmieniony. Lecz nie mogąc zmienić tego co się stało, pokrył to

wieczném milczeniem. Uczcił wolę Karoliny i w połączniu z Rozalją szukał szczęścia, którego Karolina dać mu nie była w stanie. Wtém nagle, niespodziewanie otwiera się grób i biednej ofiarze wydzierają jój tajemnicę. Alman widzi swe szczęście zburzone na wicki — i to wszystko razem wprawia go w pomieszanie zmysłów. Otóż jest podług mego zdania wyjaśnienie listu znajdującego się w szkatułce Karoliny, rzekła obracając się do Rozalji. Jój troskliwość o męża spowodowała ją do tego, że w zapieczętowanych papierach złożyła zeznanie swego samobójstwa i ztąd jój ostatnia wola, aby te papiery w tym tylko razie były rozpieczętowane, gdyby honor lub życie jój męża zagrożone być miały. Tyle poświęcenia, tyle troskliwości są zaiste godne uwielbienia, zakończyła Łucja ocierając łzy spływające po jój licach.

Doktor spozierał z litością na płaczące panie, lecz po chwili milczenia odezwał się nieśmiało:

— Lecz jeżeli Karolina była tak szlachetnie myślącą jak ją pani wystawiasz, czyż można przypuścić, aby umyślnie i w pełnej wiedzy mogła popełnić tak szkaradne oszukaństwo, odbierając sobie życie po zabezpieczeniu go wpięrk tak wysoko.

— To pana zapewnić mogę, odpowiedziała Łucja, że Karolina miała już dawno przecucie, że długo nie pożyje, i często namawiała męża, aby zabezpieczył jój życie. Na opłacenie pierwszej raty prowizji i sumy wstępnej, sprzedała prawie wszystkie swe klejnoty. Te przecucia wzmogły się jeszcze, gdy się przekonała, iż mąż jój kocha ciągle Rozalję, a w swój rozpacz nie pamiętając nawet jak wielki grzech popełnia w obliczu



Boga, zapomniała i o tém, że jój życie nie należy już do niej samój, ale do banku w którym jest zabezpieczone. O! to wszystko tak jest jasnym jak słońce! Ty czysta duszo! zawołała Łucja w natchnieniu stawając przy oknie, przez które jasne promienie księżyca wdzierały się do pokoju, — ty która teraz w lepszym znajdujesz się świecie, czy nie zdołasz jeszcze ocalić tego, którego ukochałaś tak silnie. To mówiąc Łucja zsunęła się na kolana i w głębokiej pogrążona modlitwie pozostała tak przez chwilę.

Wtém drzwi otworzyły się z cicha i Weronika skinęła na doktora.

— Już bardzo późno panie, rzekła, i zdaje mi się, że ktoś przechodził się pod tylnymi oknami domu i że nawet próbował czy drzwi są zamknięte.

— Pozostań przy schodach Weroniko, rzekł doktor. Ja zaraz przybędę. Zresztą nie ma się czego obawiać, może to był pijak jaki, powracający o tej późnej porze do domu.

— Wybacz pani, rzekł potem zbliżając się z cicha do Łucji. Jeszcze pozostaje nam rozmówić się o środkach ratunku hrabiego.

Łucja ocknęła się prędko z swego zadumania i rzekła dość spokojnie:

— Powiedziałaś panu wszystko co miałam na sercu, może pan znajdzie jakiś środek dopomożenia nam w tém nieszczęściu.

— Pani jesteś wybornym i silnym obrońcą brata, odpowiedział doktor. Lubo podziwiam bystry pogląd pani, wyznać jednak muszę z boleścią, że nie mamy ani jednego dowodu na wszystko to, coś pani tu przytoczyła. A sąd nie zważa na piękne i wzniosłe przypuszczenia, ale wymaga dowodów, jasnych dowodów.

— Ah! gdybyśmy mieli szkatułkę! odezwała się słabym głosem Rozalja.

— Więc panie nie domyślacie się wcale, co się z nią stało? zapytał doktor.

— Bynajmniej, odpowiedziała Łucja z rozpaczą. W ów straszliwy wieczór przed uwieszeniem Almana oddaliśmy mu ją, — wyrzucam sobie srogo, że namówiłam Rozalję do tego, — było to za wcześnie lub za późno — ale w każdym razie nie była to ta chwila, którą umierająca Karolina miała na myśli. Nazajutrz już Alman był obłąkany i nie można było nic wybać z niego co zrobił z tą nieszczęsną szkatułką.

— Tak, to jest okropne nieszczęście! zawołał doktor, bo tylko własne słowa Karoliny zdolają oczyścić hrabiego z ciężącego na nim podejrzenia. Lecz, dodał po chwili namysłu, gdyby było istotnie tak, jak pani tę sprawę pojmujesz, nie rozumiem, dla czego właśnie po przeczytaniu tych papierów hrabia miałby dostać pomieszania zmysłów, — wtenczas, gdy dostał do rąk to, co właśnie o jego niewinności dowodzi, i dla czego miałby ukrywać to lub zniszczyć do szczeru?

— Więc pan rozumiesz, że brat mój utracił rozum dla wyrzutów, które mu jego pierwsza żona w tych papierach czyni — ale miał dosyć jeszcze rozeznania, by zniszczyć te wymowne przeciw niemu świadectwa? rzekła Łucja z wyrazem obrażonej dumy.

— Możesz pani być przekonana, że życzę jak najgoręcej, byśmy dostali promyk światła w te straszliwe ciemności, i by ono zaświeciło tak, żeby honor i imię pani zostały oczyszczone; lecz by dojsć do tego, trzeba jak najstaranniej rozważyć wszystkie możliwe przypadki, a do tych możliwości należy także pytanie, czy szkatułka zawierała istotnie to, czego się pani spodziewasz.

— Więc pan jednak wątpi o niewinności mego brata? zapytała Łucja z goryczą.

— Spodziewam się i życzę z całego serca, aby był niewinnym, odpowiedział doktor, lecz na jego obliczu malował się wyraz mimowolnego niedowierzania.

Trudno brać za złe rozważnemu lekarzowi, że

wśród tak hrabiego kompromitujących okoliczności, nie miał w jego niewinność tak mocnej jak Łucja wiary.

— Któż może lepiej znać i osądzić człowieka, jak własna siostra, mówiła Łucja po chwili milczenia. Od czasu gdy się mój brat ożenił, rzadko się wprowadzi z nim widywałam, lecz przypominam go sobie dobrze z lat dziecięcych. Nierozwaga, lekkomyślność, rozrzutność były cechami jego charakteru, ale nigdy, nigdy panie doktorze nie zauważyłam, aby z rozmysłem uczynił komu jaką krzywdę lub wyrządził co złego. Był szczerym i dobroniuszym, i starał się natychmiast przeprosić, jeżeli kogo w zapale obraził. A taki człowiek miałby z rozmysłem zatruć własną żonę! Nie, tego nie uwierzę nigdy, choćby wszystko sprzysięgło się na niego.

Doktor widział, że mu nic na to odpowiedzieć nie wypada, nie chcąc boleśnie urazić Łucji, ale w duchu pomyślał sobie: Czyż to koniecznie trzeba być złym człowiekiem do popełnienia zbrodni? Czyż nie zdarza się często, że namiętnościami zaślepieni ludzie, bez wiary i pobożności, lecz powierzchownie wcale przyzwyczajeni, popełniają zbrodnie, na które oburza się natura ludzka a sprawiedliwość karze surowo. Zły duch zaprowadził już często na bezdroża ludzi, których nikt się tam zobaczyć nie spodziewał. Odpowiedział więc tylko krótko:

— To są, droga pani, znów tylko subiektywne zdania, których sąd wcale słuchać nie będzie, zwłaszcza od krewnych hrabiego.

Rozalja znużona tą dysputą, odezwała się, że już późno i trzeba pomyśleć o rozstaniu. Bez szkatułki nie przyjdziemy nigdy do jakiegokolwiek pewności, dodała z westchnieniem.

— Czyżby ją hrabia jednak gdzie tu w pomieszkaniu mógł ukryć? zapytał doktor.

— Nie, nie masz ani jednego zakątka, którego byśmy nie przeszukali, odpowiedziała Łucja.

— Wtenczas pozostaje ta tylko możebność, że hrabia w pomieszaniu zmysłów wyrzucił ją przez okno, rzekł doktor.

— Toby być mogło, zawołały obiedwie panie.

— Tak, rzekła Łucja, mój brat nie mógł patrzeć na tę szkatułkę, która zawierała świadectwo samobójstwa Karoliny, a nie będąc już w stanie osądzić, jak to świadectwo potrzebnem mu będzie, pozbył się zapewne w ten sposób. Lecz byłby się przecież kto znalazł, ktoby ją był podniósł i oddał. Policja umieściła anonse po wielu gazetach, że oddawca zagubionej szkatułki odbierze sowitą nagrodę.

— Lecz brat pani wyrzucił ją zapewne z okna swojej sypialni, które wychodzi na ogród i rzeczkę, rzekł doktor.

Łucja spojrzała z przerażeniem na niego. Rozalję przejęło po całym ciele nerwowe drżenie.

— Lecz pozwólcie panie, że obejrzę cokolwiek lepij miejscowość.

Łucja zapaliła świecę i zaprowadziła doktora do dawniej sypialni brata. Doktor otworzył okna i spojrzał przez chwilę na ogród i okolicę, która przy blasku księżyca przecudny sprawiała widok. Fale rzeczki, po których igrały promyki księżyca, płynęły z cichym szmerem ku sąsiedniemu ogrodowi. W około panował głęboki spokój. Tylko na najniższym terasie, prowadzącym prosto do rzeczki, spostrzegł doktor jakiegoś człowieka, przechodzącego się z cygarem w ustach, jakby oczekiwał na kogo.

— Czy to nie dyrektor? pomyślał Kolaczek. Tak, rzeczywiście to on, będzie mnie chciał zapewne złapać na gorącym uczynku, — mógłbym go uniknąć wprowadzić, gdybym wyszedł przez drzwi frontowe, ale nie — to zakrawałoby na tchórzostwo. Widać, iż wie już o tém, że tu jestem, i że jego groźby na nic mu się nie



zdały. Ma zapewne nowe powody do rozmówienia się ze mną — dobrze, zobaczmy co ten dyplomata wymyślił nowego. Tak rozmyślając doktor zamknął jak najspokojniej okno i powrócił do salonu, gdzie Łucja czekała na niego.

— I cóż? rzekła po cichu.

— Jest bezwątpienia tak, jak się domyślamy, rzekł; przedmiot rzucony z tego okna musi koniecznie wpaść w rzeczkę, jeżeli jest choć trochę ciężki i silnie rzucony.

— Więc szkatułka stracona na zawsze, zawołała Łucja prawie z rozpaczą.

— Nie traćmy nadziei, droga pani, rzekł doktor z błyszczącym spojrzeniem i dziwnym wzruszeniem. Nadzieja jest tak piękną i posiada tę siłę tajemniczą, że zdoła zapanować nad przykreimi okolicznościami. Nadzieja i silna wola są z sobą blisko spokrewnione.

Łucja nie rozumiała myśli ukrytej pod temi słowami.

— Ach, ani nadzieja, ani silna wola nie zdołają nam powrócić zagubionej szkatułki, rzekła z westchnieniem.

— Kto wie, droga pani, zawołał doktor przyciskając z wzruszeniem rękę Łucji do ust.

— Choćbyśmy przypuścili nawet, że szkatułka spoczywa spokojnie na dnie strumyka, papiery znajdujące się w niej byłyby przemokłe i nieczytelne, rzekła Łucja.

— Wszak pani wspomniałaś, że szkatułka była wewnątrz wykładana srebrem?

— Tak.

— W tym razie można mieć nadzieję, że woda nie przesiąknęła wewnątrz. A zresztą szkatułka lżejsza niż woda, nie utonęła z pewnością.

— Toby ją byli rybacy znaleźli i oddali, słysząc zwłaszcza o wielkiej nagrodzie przeznaczonej oddawcy.

— To niekoniecznie; rzeczka płynie w kierunku ogrodu pana dyrektora, brzegi rzeczki w jego ogrodzie są obrosłe gęstą wiciną, woda mogła zapędzić szkatułkę w tę stronę i takowa mogła się zachaczyć na krzakach.

Doktor umilkł, Łucja patrzyła nań z podziwieniem.

— Jest bardzo możebnym, że szkatułka tym sposobem dostała się w ręce dyrektora.

— Ta nadzieja jest na bardzo słabych oparta podstawach, panie doktorze, rzekła Łucja z niecierpliwością.

— Nadzieja — nie pani, ta obawa, przerwał doktor nieco zdziwiony.

— I czegoż moglibyśmy się obawiać, gdyby szkatułka była w ręku dyrektora, rzekła znów Łucja. Z jakiej przyczyny miałby on to ukrywać? Dyrektor dał nam tyle dowodów życzliwości, obchodzi się tak łagodnie z moim bratem, — nie wątpię więc bynajmniej, żeby użył jak najspieszniej wszelkich środków do uwolnienia nas z tego przykrego położenia.

Kolaczek uczuł, że trudno byłoby przekonać Łucję o niegodziwości, którą przypisywał dyrektorowi, a której obecnie dowieść mu nie był w stanie. Wolał więc na teraz umilknąć, nie chcąc w oczach ukochanej uchodzić za oszczercę człowieka, którego ona skłonna była uważać za dobroczyńcę.

W duszy Łucji powstała zaś myśl, która jęć była najokropniejszą, lecz której przypuścić nawet lękała się, to jest, że jeżeli dyrektor znalazł szkatułkę a zamilczał o tém, to uczynił to tylko dla tego, że znalazł w niej dowody przeciwko jęć bratu świadczące. Łucja nie znała bynajmniej charakteru tego człowieka. Czuła tylko, że go dawniej obraziła i ceniła to bardzo wysoko, iż nie korzystał z podanej chwili zemsty, lecz obchodził się z jęć rodziną jak mógł najlepiej. Była więc markotną widocznie na doktora, że mu tak nieszlachetny przypisywał postępek. Więc téż, kiedy Rozalja żegnała się czule z doktorem i w wyrazach pełnych rzewności dzie-

kowała mu za współudział, jaki okazywał w ich nie-szczęściu, Łucja pożegnała się z nim dość ozięble.

— Niechaj panie liczą na mnie, dodał odchodząc, że dołożę wszelkiego starania, by was wyrwać z tego przykrego położenia. Może niedługo usłyszycie o mnie.

Wkrótce Weronika czekająca w przedpokoju poprowadziła go przez ciemny korytarz do drzwi tylnych i ciężka żelazna brama zamknęła się, a młody doktor zniknął wśród mgły porannej, bo na wschodnim widnokręgu zaczynał się już ukazywać pas różanny, zwiastujący jutrzeńkę.

## IX.

Tydzień był upłynął od owego wieczoru, a doktor Kolaczek nie pokazał się ani w domu hrabiostwa, ani w żadnym inném towarzystwie u wód. Łucja była nie-spokojną i obrażoną. Uważała to za oznakę oziębłości, którejby się nigdy nie była spodziewała po przyjacielu swych lat dziecięcych. Lecz może on chory, może go znów uwięziono, pomyślała, i wysłała Weronikę na zwiady. Ta powróciła wkrótce z wiadomością, że doktor Kolaczek wyjechał zaraz nazajutrz rano po swęj bytności u hrabiny i Łucji, lecz dokąd, tego nikt nie wiedział.

Był to nowy, bolesny cios dla obudwóch pań, które teraz były zupełnie osamotnione, zwłaszcza, że nie posiadały w ogóle żadnego blizkiego krewnego, do którego by się o pomoc udać były mogły. Jednakże Łucja w swém dumnym usposobieniu nie upadła na duchu, owszem czuła w tém niejaki zadowolenie, że się obejść potrafi bez pomocy człowieka, na którym się tak bardzo omyliła.

W ten sam dzień spotkała się w kursalu z panem dyrektorem. Jego oblicze jaśniało radością, gdy pośpieszył powitać się z nią.

— Czy pan nie wiesz dokąd udał się Dr. Kolaczek? rzekła, udając jak najzupełniejszą obojętność.

— Doktor Kolaczek? zapytał dyrektor jakby zdziwiony tém zapytaniem. Więc on nie uwiadomił pań o swym odjeździe?

— Nie, odpowiedziała Łucja obojętnie. Nietylko nie uwiadomił nas o swym odjeździe, ale nie wiedzieliśmy wcale, że ma zamiar opuścić F...

— Miał zapewne swoje powody do ukrywania się z tém, rzekł dyrektor z znaczącym uśmiechem. Powiem pani wszystko co wiem o tém, i co jako urzędnik wiedzieć powinienem. Przed tygodniem, powracając pewnej nocy z kółka naszego, napotkałem doktora Kolaczka, który właśnie wychodził z ogrodu państwa. Poznaliśmy się i przywitali. — Oj panie Kolaczek, sam sobie wyrażasz krzywdę, nie zważając na przestroję, której ci po przyjacielsku udzieliłem. Gdyby się ktoś taki, jak n. p. Juliusz Melville, dowiedział o twoich odwiedzinach pani i panny Rikoczy, byłbym zmuszony znów cię zaaresztować, gdyż w innym razie byłbym wystawiony na to, że mnie zrzucą z urzędu i przysła daleko surowszego sędziego śledczego odemnie. A tego już w interesie rodziny Rikoczy nie chciałbyś pan przecież spowodować.

— Dla tego właśnie obrałem tak późną porę do moich odwiedzin, odrzekł doktor.

— Wierzę temu, odpowiedziałem, ale moje prywatne przekonania nie mogą na moje urzędowe czynności wpływać. Nie mogę sobie inaczej poradzić, jutro rano muszę pana arestować.

— A więc mu pan tém zagroziłeś?

— Ależ proszę pani, czyż to groźba, kiedy się komu sześć godzin naprzód oznajmi, że go się przyaresztuje? zaśmiał się dyrektor. Była to tylko dobroduszna wskazówka, którą doktor zrozumiał doskonale: nazajutrz rano już ptaszka nie było w gniaździe. Nie



spieszyłem się bynajmniej ze ściganiem go, dopiero w kilkanaście godzin kazałem telegrafować za nim. I z wielkiem zadowoleniem dowiedziałem się w tych dniach, że doktor Kolaczek udał się do Havru, a ztamtąd do Ameryki.

— Do Ameryki? zawołała Żucja głosem, w którym więcej się boleść, niż zdziwienie odbijało.

— Ja się nie dziwię bynajmniej, rzekł dyrektor obojętnie. Było to najlepsze co mógł uczynić. Uwikłany w tę kryminalną sprawę, nie byłby i tak znalazł w naszym kraju praktyki. Publiczność nie byłaby nigdy powzięła zaufania do lekarza, który się nie poznał na otruciu. Był dość wspaniałomyślnym, iż nie wypowiedział tego, co dał do zrozumienia, to jest, że doktor czując się winnym, umknął na drugą półkulę świata. Wiedział, że Żucja przyjdzie na tę myśl i bez jego pomocy.

Plan dyrektora, by Żucję wyleczyć z miłości dla doktora, udał się wybornie. Gdy przybyła do domu, zamknęła się w swoim pokoju i gorzkie stramienie łez potoczyły się po jej licach, nad przemieszczeniem się tego, którego jedynie ukochała w tym życiu. Ta dotychczas tak szczęśliwa i samemi hołdami otoczona dziewczyna czuła się tym boleśniej dotknięta stratą, której się najmniej spodziewała. Wszystkie przykrości, które na nią w ostatnich czasach spadały, znosiła mę-

źnie, bo myśl, że ma kogoś, który dzieli z nią każdą troskę i niepokój, dodawała jej siły. A teraz, teraz widziała się zdradzona, opuszczona bez litości.

Rozalja zaniepokojona, że Żucja tak długo nie przybywa do niej, poszła do jej pokoju. Żucja opowiedziała jej w krótkich słowach, co słyszała od dyrektora.

— Więc i to jeszcze nieszczęście spotkać nas musiało, wyrzekła Rozalja. Lecz trudno mu się dziwić, rzekła po chwili milczenia. I bardzo to ładnie ze strony dyrektora, iż go przestrzegł. Dzięki Bogu, że mu się ucieczka udała. Taki człowiek jak on, może i po tamtej stronie morza zrobić wielką karyjerę.

Żucja wstrząsnęła smutnie głową. Nie była bynajmniej tego zdania co jej bratowa i nie mogła pochwaląc ucieczki doktora.

— Czy doktor wiedział, że ta kaucja pochodziła od ciebie? spytała Rozalja.

— Nie, posłałam mu ją bezimiennie, nie chciałam okazać mu się jako wierzycielka, której wdzięczność winien. To byłoby mogło spowodować nieprzyjemny stosunek pomiędzy nami. Lecz nie pomyślałam jeszcze wcale o tej sumie, która po ucieczce doktora wpadnie naturalnie w ręce sądu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Michał Piotrowicz Pogodin.

Znakomity ten pisarz rosyjski, odznaczający się najbardziej jako badacz starożytności słowiańskich, urodził się w Moskwie 11go lutego (22) 1800 roku. Pierwsze wychowanie pobierał w domu rodzicielskim. Od najrychlejszej młodości objawiało się w nim wielkie zamiłowanie literatury, które przez czytanie patriotycznych rapsodów Glinka, powieści Szukowskiego, tłumaczeń z niemieckiego komedji Kotzebuego i Lafontaine wzniecone było. W jedenastym roku życia swego oddano go do zakładu naukowego, gdzie się uczył początków języka niemieckiego, francuskiego i łacińskiego. W tym samym domu znajdowała się drukarnia. W niej wydrukowano pierwszą jego pracę literacką: tłumaczenie niemieckiego dramatu „Julja Hargrave“, którą jako dwunastoletni chłopiec wykonał.

Za wkroczeniem Francuzów do Rosji w r. 1812, rodzina Pogodinów wyniosła się z Moskwy. Gdy się tam w r. 1813 wróciła, znalazła dom swój obrócony w perzynę i cały swój dobytek zniszczony przez żołdactwo francuskie; była więc zmuszoną szukać przytułku u krewnych we wsi Gruzynie. Tutaj młody Michał kształcił się dalej pod przewodnictwem Woskreszenskija, późniejszego profesora filozofji przy uniwersytecie w Kasanie, w języku łacińskim i innych wiadomościach; czytywał także z zajęciem gazety, których łamy wypełnione były wówczas opisami świetnych zwycięstw Rosjan za granicą, co mu dodało natchnienia do rozmaitych patriotycznych poematów.

W tym samym czasie wpadły mu w ręce dzieła Karamzina, które na nim głębokie zrobiły wrażenie i na późniejsze jego koleje życia wielki wpływ wywarły. Od roku czternastego zaczął Michał uczęszczać do gimnazjum w Moskwie, z którego, po odbytych świetnie egzaminie w roku 1818, przeszedł do uniwersytetu tamecznego.

Wszechnica w Moskwie jest najstarszą w całym państwie rosyjskiem i z dawien dawna mogła się poszczycić najdokładniejszymi profesorami. W onym czasie wykładał Tchepopanow historję rosyjską, Merslekov teorję literatury i retorykę, Tymkowski literaturę łacińską, Ulrych niemiecką, Gawrilow słowiańską, Boldyrew

uczył o starożytnościach hebrajskich, Katchenowsko o sztukach pięknych i archeologii, Heim wykładał statystykę, Kameneskoj był profesorem geografji. Pogodina zajmowały najbardziej wykłady Merseklowa, który się wprowadził trzymając jeszcze starodawnych podań, lecz je ożywiając zajmującym i głęboko obmyślanym wykładem. W tym czasie poczyniała już romantyczność górować nad klasycznością i pomimo niechęci Merseklowa studenci moskiewscy czytali z zapalem Byrona i jego naśladowcę Puszkina. Ulubionymi autorami Pogodina byli Wieland i Schiller, Goethe i Herder, a z autorów francuskich pani Stael i Chateaubriand, którego „Duch chrześcijaństwa“ przełożył na język rosyjski. Jeden z starszych jego kumilitonów zwrócił mu uwagę na Schölcera „Commentar zu Nestor“, co go zawiadło najpierw na pole krytyki i nadało ducha i metody wszystkim jego późniejszym pracom. Zachęcony przez Heyma, przetłumaczył starożytną geografję Nische'go, a za radą Davidowa, który po śmierci Tymkowskiego wstąpił na katedrę profesorską, wydał Ode Horacjusza z objaśnieniami Johna i Mitscherlicha, które były drukowane na koszt uniwersytetu. W tym samym czasie, jako akademik, zaczął pracować na polu dziennikarstwa, a najwięcej artykułów podawał do „Wjestnik Europy.“ To czasopismo, założone przez Karamzina, zajmowało wtenczas najpierwsze miejsce pomiędzy czasopismami rosyjskimi.

Po ukończeniu nauk uniwersyteckich zagłębił się Pogodin w dziełach Stelcera i Nestora, o których od czasu do czasu podawał artykuły do „Wjestnik Europy.“ Te rozprawy jako i tłumaczenia Thummana rozpraw o Chazarach zjednały mu przyjaźń hr. Rumjancowa, który z nim korespondował i polecił mu opracowanie rozprawy Dobrowskiego o słowiańskich apostołach Cyrylu i Metodym.

Wtenczas właśnie napisał był Katschenowski, redaktor Wjestnika, człowiek uczony lecz do paradoksów skłonny, swoją teorję o pochodzeniu Waregorussów; przeciwko téjże wystąpił Pogodin stanowczo i przesłał swą rozprawę do Wjestnika, jednakże nieprzyjęto jej i dopiero później użył jej Pogodin do swęj dysertacji



„O pochodzeniu Rosjan.“ To dało powód do walki literackiej, która się nawet z śmiercią Katschonowskiego nie skończyła, lecz przeszła lat trzydzieści trwając, rozdzieliła rosyjskich historyków na dwa stronnictwa. Chodziło głównie o to, czy Ruryk i jego towarzysze przybyli z północy, jak to Pogodin podług Stelcera i Karamzina utrzymywał, czy też z południa, jak mniemał Katschenowski; dalej chodziło o prawdziwość kroniki Nestorskiej, o której prawdziwości Katschenowski powątpiewał, a której bronił Pogodin; dalej o prawdziwość „Ruskaja prawda“ (pierwszych podobno przez Jarosława wydanych praw rosyjskich) i t. p. różnych starych dokumentów. Do tych sporów dołączyło się wiele innych, które prowadzono z wielkim zapałem i erudycją.

Dysertację „O pochodzeniu Rosjan“ bronił Pogodin publicznie w r. 1825 na posiedzeniu uniwersytetu z wielkim powodzeniem. Karamzin, Wostokow i Köppen głośnie dawali mu oklaski, a sławny profesor Krug ofiarował mu miejsce adjunkta przy uniwersytecie petersburskim. Jednakże jego przesiedlenie się nie przyszło do skutku, gdyż go wkrótce potem obrano jako pomocniczego profesora przy uniwersytecie w Moskwie, gdzie już od r. 1821 wykładał geografję przy zakładzie szlacheckim, a od r. 1825 historję powszechną uczniom pierwszego kursu, dla których napisał swoje „Aforyzma historyjne“, które wyszły z druku dopiero w r. 1836 i zaraz przez Geringa na język niemiecki przetłumaczone zostały.

W roku 1833 Pogodin został mianowany profesorem historii przy uniwersytecie z tytułem radcy nadwornego, a w r. 1835 powołano go na koniec na katedrę historii rosyjskiej, które to miejsce najbardziej było odpowiednie jego skłonnościom.

Wszystkie te urzędy sprawował uczony ten mąż z niezmierną gorliwością i sumiennością. Aby zapobiedz brakowi dzieł historycznych w rosyjskim języku, kazał tłumaczyć uczniom pod swym dozorem dzieła zagraniczne, jako to: Historję Karóla V przez Robertsona, Historję średnich wieków Desmichela, Historję cywilizacji we Francji Guizota i t. p. Sam zaś przełożył Mösera, przygotowania do historii powszechnej dla dzieci, II tomy, Moskwa 1829—1830, i Hercena Ideje o polityce, handlu i kulturze ludów starożytnych. Od r. 1837 wydawał „Bibliotekę historyjną“ (przeszło 10 tomów, w której głównie traktowaną jest historia Neapolu, Sytylii, Lombardji, Prus, Saksonji, Szwecji i miast hanzeatyckich. Także i beletrystyką zajmował się wiele. Wydawszy w roku 1825 z swym przyjacielem Schewyrewem „Uranję“, książkę zbiorową, redagował od roku 1827—1830 „Moskiewski Wjstnik“, w którym byli współpracownikami Schewyrew, Puszkina, Werewitinow, książę Odojewski i inni znakomici pisarze. W r. 1828 przetłumaczył „Götz von Berlichingen“, r. 1831 wydał tragedję historyjną „Marja poradnica“, w r. 1833 trzy tomy powieści, r. 1835 powieść dramatyczną Pseudo-

Demetryus. Tragedja „Piotr I“ i „Boris Godunow“ pozostały w rękopismach. To wszystko było tylko pracami pobocznymi, które urozmaicały główne jego badania starożytności słowiańskich i ruskich, których to badań rezultaty podawał w mniejszych lub większych rozprawach, jak n. p. „O charakterze cara Jana Okrutnego“, „O współudziale Godunowa przy zamordowaniu Demetryusza.“ Doskonałe zgłębianie kroniki Nestora, Compendjum do historii rosyjskiej dla gimnazji, o dostojństwie dawnych Rosjan i nader zajmujące próbki słowiańskiej paleotypji (2 poszyty 1840—41). Jemu zawdzięczamy także wydanie Kuryłowa (statystyczny opis Rosji pod panowaniem Piotra Wielkiego) i bardzo zajmujące Pamietniki Possoskhowa, Kroniki Pskowskiej i sprawozdania z poselstwa na Litwę pod panowaniem Zygmunta Augusta (wydane w r. 1843).

Aby uczynić przystępnymi dla publiczności nagromadzone z różnych stron Rosji i innych krajów słowiańskich historyjne i literackie materiały, Pogodin zaczął wydawać w r. 1843 czasopismo pod tytułem: „Moskwitianin“, które przez długi czas liczone do najuczeńszych pism rosyjskich, lecz które mało znalazło uznania u przywykłej tylko do lekkiej literatury publiczności rosyjskiej, a w r. 1856, z piętnastym rokiem swego istnienia, upadło.

Później wychodził pod redakcją Pogodina, 1844 r., historyjny zbiór (Zbornik) rosyjskich starożytności. Wiele prac jego są także rozrzucone w Pamietniku uniwersytetu moskiewskiego, w Gazecie Moskiewskiej, redagowanej przez Puszkina, w ministerjalnym dzienniku oświecenia i innych pismach publicznych.

Z jego tłumaczeń najznakomitsze są: „Prace krytyczne historii rosyjskiej“ (2 tomy) i pierwszy tom Dobrowskiego „Institutiones linguae slavoniae dialecti veteris“, 1833, (drugi tom przetłumaczył Schegerew). Badania Bajera o starożytnościach ruskich, Eversa najstarsze prawa rosyjskie, Hullmana historia handlu byzantyńskiego, Szafarika starożytności słowiańskie.

(Dokończenie nastąpi).

### Zapytanie.

Jak nazwać postępowanie „Gazety Narodowej“, która fałszuje korespondencje jej przesyłane w ten sposób, że gdy korespondent pisze n. p.: „Tygodnik Wielkopolski okazał niezwykłą odwagę cywilną“, — redakcja tej Gazety zamiast tego, przekreśla: Tygodnik Wielkopolski okazał niezwykłą zarozumiałość i t. p.?

Uskarżała się nam sama osoba pisząca korespondencję i pytała się o radę, co ma począć z taką samowładzą p. Dobrzańskiego?

Myśmy jej odpowiedzieli: Poziomości p. Jana Dobrzańskiego nie ma granic, — więc i środka na nią nie znamy; owszem niech tak „Gazeta Narodowa“ dalej sobie grób kopie!...

Pociesza nas to zresztą, że mamy takich — przeciwników.

Jak najuprzejmiej upraszamy licznych nie uiszczających się ze zaległości (mianowicie od 1872 i 1873 r.) abonentów:

o łaskawe przesłanie pod naszym lub drukarni p. L. Merzbacha adresem — należytości za „Tygodnik Wielkopolski.“

Nie chcemy ani przypominać listownie, a tém mniej ściągać pocztowymi zaliczkami tytuł drobnych a licznych sumek. Gdyby komu za uciążliwem było na raz zapłacić po kilka talarów lub florenów, upraszamy chociażby o częściową upłatę znaczkami pocztowymi we frankowanym liście. Przepraszamy za to upominanie się, lecz kaźdonumerowe koszt 25 tal. gotówką zniewalają nas do tego kroku.

### Redakcja.